

I płynęliśmy bez ustanku z wyspy na wyspę i z morza na morze, a we mnie rosła nadzieja, że już nareszcie jestem wolny od wszelkich niebezpieczeństw, i radowałem się myślą, że ocalałem życie. Ilekroć jednak wspominałem swój pobyt ze zmarłą żoną w jaskini, opuszczały mnie zmysły. I tak dzięki wszechmocy Allacha bezpiecznie dotarliśmy do miasta Basry. Tam zszedłem na ląd i zabawiłem kilka dni, a potem wróciłem do miasta Bagdadu. Odnalazłem swoją dzielnicę, wszedłem do mego domu i powitałem rodzinę i przyjaciół. Pytałem, jak się im wiedzie, a oni cieszyli się mną i wieszali mi ocalenia. Wszystko, co w tej podróży zdobyłem, złożyłem w magazynach, a potem rozdawałem jałmużnę, obdarowywałem i odziewałem sieroty i wdowy, i byłem szczęśliwy i zadowolony. I znów, jak to było w moim zwyczaju, chodziłem w gości, bawiłem się i biesiadowałem z moimi towarzyszami i przyjaciółmi. Tyle jest najosobliwszych przygód mej czwartej podróży. A teraz, bracie mój, Sindbadzie, wieczierzaj u mnie i jak dotąd czyniłeś, przyjmij ode mnie podarunek. Jutro zaś, gdy znowu do mnie przybędziesz, opowiem ci, co mi się przydarzyło i co przeżyłem w czasie mej piątej podróży, była ona bowiem zaiste jeszcze dziwniejsza i cudowniejsza niż te, które ją poprzedziły.

To rzekłszy Sindbad Żeglarz rozkazał dać Sindbadowi Tragarzowi sto miskali złota, a potem polecił, aby rozpostarto obrusy. Po wieczery wszyscy jak zwykle rozeszli się w swoje strony w zdumieniu najwyższym, bo rzeczywiście każda opowieść była dziwniejsza od tej, co ją poprzedzała. Sindbad Tragarz powrócił do swego domu i przepędził noc w radości, zadowoleniu i podziwieniu. A kiedy świt zajaśniał swym blaskiem i światło poranka rozblęsnęło, Sindbad Tragarz podniósł się i odprawił poranne modły, po czym wyszedł i udał się do Sindbada Żeglarza. Gdy stanął przed nim, pozdrowił go, życząc mu dobrego ranka, a Sindbad Żeglarz powitał swego gościa i prosił, by przy nim usiadł. Wkrótce też zeszli się wszyscy inni biesiadnicy i podano do stołu, jedli więc, pili i weselili się, zajęci w krąg rozmową, a potem Sindbad Żeglarz począł opowiadać...

Piąte opowiadanie Sindbada Żeglarza dotyczące podróży piątej

Wiedźcie, o bracia moi, że powróciwszy z mej czwartej podróży, rzuciłem się w wir zabaw, uciech i rozrywek i zadowolony z zysków, zdobywszy i łupów wnet zapomniałem o wszystkim, co przeszedłem, co przecierpiałem od przeciwności losu i czego doznałem, a dusza moja znów mnie kusiła do nowej podróży, do oglądania nieznanych krajów, ludów i wysp. Podjąwszy więc postanowienie wstałem i nakupi-

łem cennych towarów potrzebnych do morskiej podróży, zapakowałem toboły i z miasta Bagdadu udałem się do miasta Basry. Poszedłem na brzeg rzeki i zobaczyłem wielki, wysoki i piękny statek. Zachwyciłem się nim i kupiłem go. Był on świeżo ożaglowany, więc przyjąłem tylko kapitana i załogę, poleciłem też moim niewolnikom i sługom pełnić na statku służbę, po czym załadowałem nań swoje towary. Potem przybyła jeszcze gromada kupców, którzy płacąc mi za przewóz wnieśli na statek swoje mienie i odpłynęliśmy dobrej myśli i zadowoleni wielce.

Ciesząc się na zyski spodziewane i tym, że nic nam nie zagraża, podróżowaliśmy bez ustanku od wyspy do wyspy i z morza na morze i oglądając kraje i wyspy schodziliśmy na ląd, aby sprzedawać i kupować. I było tak przez jakiś czas, aż pewnego dnia przybiliśmy do brzegu wielkiej, bezludnej wyspy. Nie było na niej nikogo i wyglądała na wymarłą i opustoszałą, znajdowała się na niej tylko olbrzymia, potężna, biała kopuła. Niektórzy z nas poszli ją więc obejrzeć – a było to ogromne jajo Rucha. Kupcy podeszli i patrzyli na tę kopułę, a nie wiedząc, że jest ona jajem Rucha, poczęli tłuc w nią kamieniami, aż ją rozbili. Wtedy z jaja wyciekła obfita ilość płynu i oczom ich ukazało się pisklę Rucha. Kupcy chwycili je, wywlekli ze skorupy, zarznąli i wycięli z niego dużo mięsa.

Ja byłem w tym czasie na statku i o niczym nie wiedziałem. Kupcy nie powiedzieli mi, co z tym jajem uczynili, dopiero jeden z podróżnych rzekł do mnie: „Panie mój, chodź i zobacz jajo, które wzięliśmy za kopułę.” Podniosłem się tedy i poszedłem je oglądnać, a wówczas ujrzałem kupców tłukących jajo. Krzyknąłem: „Nie czyńcie tego, bo ptak Ruch nadleci, rozbije nasz statek i nas wszystkich zgładzi!” Ale oni nie słuchali moich słów ani nie zaprzestali swego działania. I oto nagle słońce skryło się przed nami, światło dnia poszarzało i można było sądzić, że niebo zasnuła wielka chmura. Podnieśliśmy głowy, by zobaczyć, co przysłoniło słońce, i ujrzeliśmy, że było to skrzydło ptaka Rucha, które tak słoneczny blask zasłoniło, że aż zapanowała ciemność. Gdy ptak Ruch podleciał bliżej, zobaczył, że rozbiliśmy jego jajo, począł krzyżeć na nas, a wtedy przyfrunęła jego samica i oba ptaszyska jęły krążyć nad naszym statkiem, wydając wrzaski głośniejsze od piorunów.

Wezwałem wówczas kapitana i załogę wołając: „Odpływajcie czym prędzej i ocalenia szukajcie na wodzie, zanim nam przyjdzie zginąć!” Zbiegli się tedy kupcy, a kapitan spiesznie odcumował statek i odbiliśmy od brzegu wyspy. Gdy Ruch ujrzał, że się od brzegu oddalamy, zniknął na chwilę z oczu, a my tymczasem rozwijaliśmy najwyższą szybkość, mając nadzieję, że uda nam się oddalić od ich ziemi i przed ptakami uratować. Ale one leciały za nami i coraz

bardziej się do nas zbliżały, a każdy z nich trzymał w szponach ogromny kawał skały. I cisnął na nas Ruch swój skalny odłam, lecz kapitan odwrócił szybko statek, tak że głaz chybił i runął w morze za nami. Ale nasz statek uniósł się wskutek tego wysoko na fali, a potem zjechał w dół tak głęboko, że mogliśmy dojrzeć morskie dno – z tak wielką siłą spadła owa skała. A wtem i samica Rucha swój głaz na nas rzuciła. Był on mniejszy od tamtego, ale los zrządził, że trafił on w rufę statku i strzaskał ją, a ster rozleciał się na dwadzieścia kawałków. Wszystko, co było na statku, pogrążyło się zaraz w morzu. Życie było mi miłe, więc próbowałem się ratować, i oto Allah Najwyższy zesłał mi deskę spośród desek okrętowych. Chwyciłem ją i wlałem na nią, i nogami począłem wiosłować, a fale i wiatr pomagały mi płynąć. Statek zatonął wprawdzie na pełnym morzu, ale niedaleko znajdowała się wyspa i los wyniósł mnie na nią za Allacha Najwyższego przyzwoleniem. U kresu sił i prawie martwy z wysiłku, wyczerpania, głodu i pragnienia wywlokłem się na ląd. Na brzegu upadłem i leżałem dobrą chwilę, aż dusza moja się uciszyła i serce odzyskało spokój. Potem poszedłem w głąb wyspy. Wydała mi się podobna do rajskich ogrodów, bo drzewa na niej były dojrzałym owocem obwieszona, woda w strumieniach szumiała, a ptaki wysławiały swym śpiewem Wszechmocnego, do którego wieczność należy. Było tam mnóstwo kwiatów, drzew i owoców, więc do syta się najadłem, ugasilem pragnienie wodą ze strumieni i za to Allacha Najwyższego sławiłem i wychwalałem. Wieczór zastał mnie na tej wyspie i wkrótce noc poczęła zapadać. Dźwignąłem się zmartwiały od zaznanych trudów i strachu, ale nie posłyszawszy na tej wyspie żadnego głosu ani też nikogo na niej nie widząc, ułożyłem się tam i spałem do samego rana. Potem wstałem i poszedłem przed siebie wśród drzew, aż wtem ujrzałem przy źródle płynącej wody czerpadło i siedzącego opodal staruszka o miłym wyglądzie, ubranego w szatę z liści drzew. Powiedziałem sobie w duchu: „Ten starzec jest na pewno rozbitkiem z jakiegoś zatopionego statku i stąd na tej wyspie się znalazł.”

Podszedłem do niego i pozdrowiłem go, a on milcząc, skinieniem głowy odwzajemnił mi pozdrowienie. Zapytałem go: „Szejchu, co sprawiło, że siedzisz na tej wyspie?” On na to potrząsnął smutno głową i ręką dał mi znak, jak gdyby mówił: „Weź mnie na plecy i przenieś mnie stąd na drugą stronę strugi.” W duszy sobie powiedziałem: „Wyświadczę mu to dobrodziejstwo i przeniosę go tam, gdzie pragnie, a może kiedyś mi za to odpłaci.” I zbliżyłem się do starca, dźwignąłem go na ramiona i przeszedłszy tam, gdzie mi wskazał, powiedziałem: „Zejdź teraz, gdzie chcesz.” Ale on nie zszedł z moich ramion, tylko obie nogi wokół mojej szyi oplótł. Wtedy spojrziałem na te nogi i stwierdziłem, że są podobne do nóg bawołu,

czarne i szorstkie. Przeraziłem się i chciałem go zrzucić z ramion, ale on moją szyję tak mocno ścisnął, że poczułem się dusić, świat pociemniał mi przed oczyma, straciłem zmysły i nieprzytomny, prawie martwy, zwałem się na ziemię. Wówczas starzec podniósł nogi i począł mnie bić nimi po plecach i po ramionach, i tak wielki ból mi zadawał, że szybko się znów poderwałem, choć on wciąż siedział na mnie jak na wierzchowcu, a ja dźwigałem go z trudem.

Starzec dał mi ręką znak, abym szedł pomiędzy drzewa, tam gdzie były najlepsze owoce, a gdy mu się sprzeciwiałem, tłukł mnie nogami zadając mi razy boleśniejsze niż uderzenia biczem. Gdziekolwiek mi więc wskazał ręką i dokąd tylko chciał, tam z nim szedłem, a jeśli się ociągałem lub okazywałem niechęć, starzec bił mnie. Tak oto stałem się jego jeńcem. A podczas gdy biegałem z nim po wyspie, starzec począł w dodatku moczyć mi kark i zanieczyszczać plecy i ani w nocy, ani w dzień ze mnie nie schodził. Gdy go sen morzył, zaplatał nogi na mojej szyi i tak spał, a gdy się budził, znowu mnie bił. Wtedy szybko wstawałem, bo nie byłem w stanie mu się sprzeciwić, gdyż wtedy jeszcze bardziej się nade mną znęcać począł. Czyniłem sobie więc teraz wyrzuty, że go wzięłem na ramiona i że mu litość okazałem. Ale musiałem tak cierpieć bez ustanku i byłem w strasznej niedoli. Wreszcie powiedziałem sobie w duszy: „Wyświadczyłem temu staruchowi dobro, a on mi za to złem odplacił. Na Allacha, nigdy, jak długo będę żył, nikomu więcej serca nie okażę.” I przez cały ten czas, o każdej godzinie prosiłem Allacha Najwyższego o śmierć, tak byłem znękany i udręczony.

Tak działo się przez pewien czas; aż oto pewnego dnia zaszedłem ze starcem w jakieś miejsce, gdzie leżało sporo dyń, a wśród nich wiele było całkiem zeschniętych. Jedną z nich, wielką i suchą, podniosłem, odkroiłem z wierzchu kawałek i wydrążyłem w środku całą dynię. Potem poszedłem po winogrona i wypełniłem nimi dynię, zakryłem otwór odcięтым wieczkiem i wystawiłem tak na słońce. Gdy dynia powstała w ten sposób kilka dni, wytworzyło się w niej czyste wino, a ja z tego codziennie po trosze sobie popijałem, aby siły przez tego przekłętą szejtana stracone odzyskać. Gdy byłem trochę podpity, wracały mi siły i odzyskiwałem pogodę ducha. Pewnego dnia, widząc, jak piję, starzec na migi mnie zapytał: „Co to takiego?” Odpowiedziałem: „Jest to rzecz wyśmienita, która serce wzmacnia i umysł rozjaśnia.” To rzekłszy, będąc lekko winem upojony, pobiegłem ze starcem i począłem tańczyć pomiędzy drzewami. Klaskałem w dłonie, śpiewałem i śmiałem się, a on widząc, co się ze mną dzieje, zażądał, abym mu tę dynię podał, bo chce się z niej również napić. A że odczuwałem przed nim strach, więc bez zwłoki podałem mu dynię, a on wypił wszystko, co w niej było, i pustą na ziemię rzucił.

Wnet potem i jego wesołość ogarnęła i począł podrygiwać na moich ramionach, po czym zawładnęło nim oszołomienie, jego mięśnie i członki się rozluźniły i zaczął się kiwać na moich barkach. Widząc, że jest pijany i nieprzytomny, ręką sięgnąłem do jego nóg, uwolniłem od nich moją szyję i pochyliwszy się ze staruchem ku ziemi, i siadłszy zwałem go na nią. Gdy pozbyłem się tego szejtana z mych ramion, trudno mi było wprost uwierzyć, że oto jestem wolny od swojej niedoli. Bojąc się jednak, że gdy starzec ochłonie z zamroczenia, gotów mi znowu krzywdę wyrządzić, przyniosłem wielki kamień spomiędzy drzew i podszedłem z nim do uspiętego starucha, po czym uderzyłem go tak mocno w głowę owym kamieniem, że aż mięso mu się z krwią pomieszało i zginął – oby Allah nie miał nad nim zmiłowania! Potem pełen najlepszych myśli szedłem przez wyspę, aż znalazłem się nad brzegiem morza, w tym samym miejscu, gdzie już byłem. I tak na tej wyspie pozostałem przez pewien czas, żywiąc się owocami i pijąc wodę ze strumieni, i czekałem na jakiś statek, który by tamtędy przepływał.

I gdy tak pewnego dnia siedziałem, rozmyślając nad swymi sprawami i przypadkami i w duszy się zapytywałem: „Jak sądzisz, czy Allah zachowa cię przy życiu i czy powrocisz do swego kraju, czy spotkasz jeszcze swoją rodzinę i przyjaciół?”, nagle ujrzalem statek, który nadpływał z pełnego spienionego morza, o falach jedna o drugą bijących. Zbliżał się on bez ustanku, aż wreszcie zakotwiczył u brzegu wyspy i podróżni wysiedli z niego na ląd. Podszedłem wówczas ku nim, a gdy oni mnie spostrzegli, podbiegli, obścapiłi mnie i pytali, kim jestem i po co na tę wyspę przybyłem. Opowiedziałem im o moich sprawach i o tym, co mi się przytrafiło, a oni zdumieli się wielce i powiedzieli: „Zaiste, człowiek, którego obnosiłeś na swoich ramionach, nazywał się Starzec Morski i do tej pory z tych, których on dosiadł, nikt poza tobą nie potrafił się od niego uwolnić. Chwała Allahowi za twoje ocalenie!” Potem przynieśli mi trochę jedzenia, więc jadłem, aż się nasyciłem, dali mi również odzienie, którym swą nagość okryłem, po czym wzięli mnie z sobą na statek.

Płynęliśmy dniami i nocami, aż los zaprowadził nas do miasta o wysokich domach, których okna wszystkie wychodziły na morze. Gród ten był znany jako Miasto Małp. Gdy wieczór zapada, wszyscy mieszkańcy tego grodu wychodzą z bram prowadzących ku morzu i wsiadają do łodzi i na statki, aby noc spędzić na wodzie, gdyż boją się małp, które mogłyby wtedy przyjść z gór i napaść na nich. Wsiadłem tam, chcąc zwiedzić to miasto – tymczasem statek bez mojej wiedzy odpłynął. Mając w pamięci los moich towarzyszy i moje własne przygody z małpami za pierwszym i za drugim razem, począłem żałować, że tam wstąpiłem, i usiadłem płacząc w zasmuceniu.

Wtedy podszedł do mnie jeden z mieszkańców tego miasta i zapytał: „Panie mój, wydaje się, że jesteś obcy w tym kraju?” Odparłem: „Tak, jestem biednym cudzoziemcem. Przybyłem na statku, który zarzucił tu kotwicę, i wysiadłem, aby oglądnąć wasze miasto. Gdy wróciłem na brzeg, nie zastałem tam już statku.” Człowiek rzekł: „Wstań i chodź, wsiądź z nami do łodzi, jeśli bowiem na noc pozostaniesz w mieście, przyjdą małpy i zginiesz.” Odpowiedziałem: „Słyszę i jestem posłuszny”, po czym zaraz wstałem i nie zwlekając, razem z innymi wsiadłem do łodzi. Ludzie odepchnęli łódź od brzegu i wiosłowali, aż oddaliła się od lądu na odległość mili. I tak wszyscy razem przepędziliśmy tę noc na wodzie, a kiedy nastał ranek, powróciliśmy łodzią do miasta i każdy z mieszkańców udał się do swoich zajęć. Tak było każdej nocy, a ktokolwiek pozostał na noc w mieście, tego małpy napadały i zabijały. Z nastaniem dnia małpy opuszczały miasto, jadły owoce z ogrodów i spały w górach aż do wieczora, a potem powracały do miasta. A to miasto znajduje się w najdalszej części Kraju Czarnych.

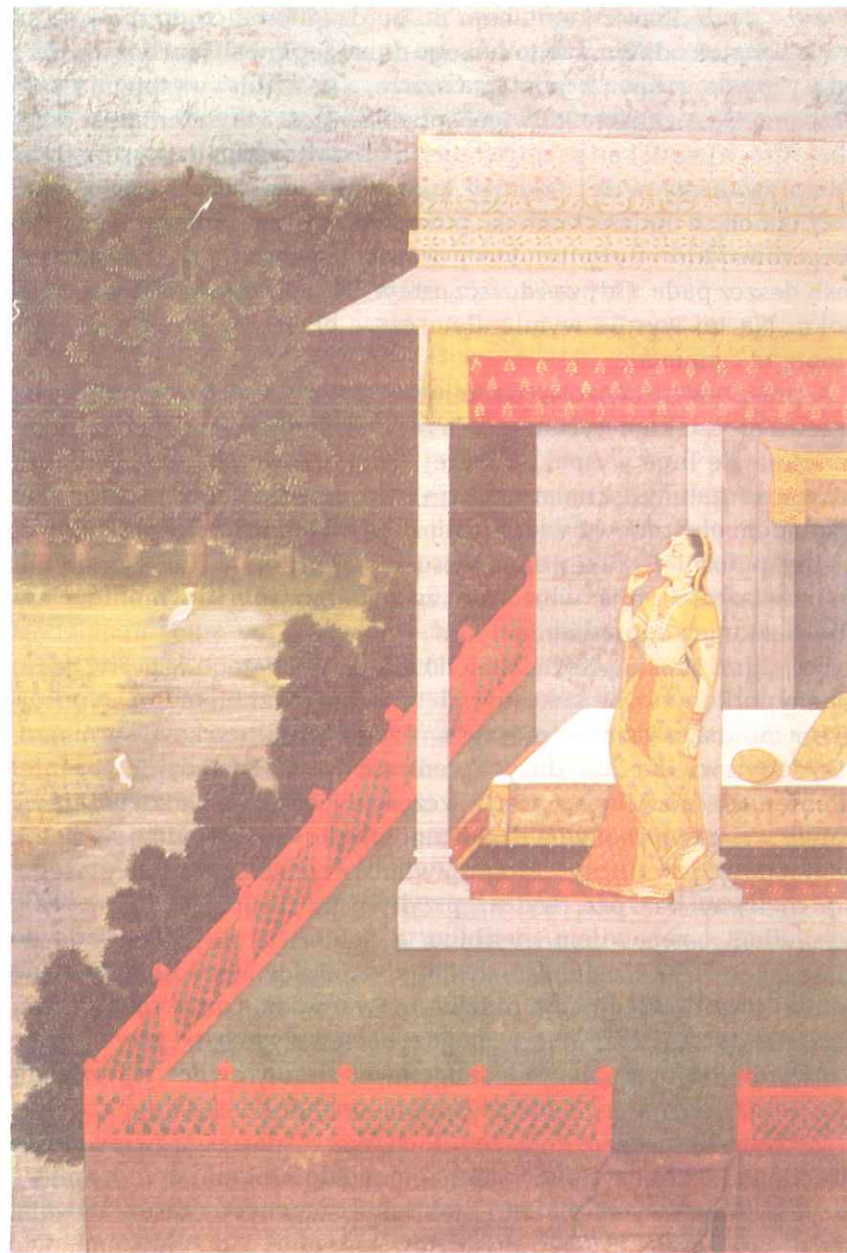
Co zaś do najdziwniejszej przygody, jaką tam przeżyłem, to była ona taka: Jeden z tych ludzi, z którymi zwykle noc na łodzi spędzałem, zapytał mnie kiedyś: „Panie mój, jesteś obcy w tym kraju, ale czy nie masz jakiegoś zawodu, który mógłbyś wykonywać?” Odparłem: „Nie, na Allacha, nie znam żadnego rzemiosła i nie wiem, co mógłbym robić. Byłem kupcem, miałem towary i majątek i posiadałem własny statek. Był on wyladowany dobytkiem i towarami, ale rozbił się na morzu i wszystko, co na nim było, zatoneło. Ja ocalałem z woli Allacha, bo Allah dał mi kawał deski, na którą się wdrapałem, i dzięki temu nie utonąłem w morzu.” Wówczas człowiek ów wstał, przyniósł mi bawełniany worek i rzekł: „Weź ten worek, napelnij go żywirem krzemienym, który leży wszędzie w tym mieście, a potem idź razem z gromadą tubylców. Ja cię z nimi zaznajomię i polecę cię ich pieczy, a ty czynź to samo, co oni czynić będą. W ten sposób będziesz miał zajęcie i może zdobędziesz środki na dalszą podróż, tak że kiedyś będziesz mógł powrócić do swojego kraju.”

To rzekłszy człowiek ten zabrał mnie z sobą i wyprowadził za miasto. Tam nabierałem krzemienego żwiru i napelniałem nim swój worek. Tymczasem z miasta wyszła gromada ludzi i ten, co był ze mną, zaznajomił mnie z nimi, powierzył mnie ich opiece i powiedział: „To jest cudzoziemiec. Zabierzcie go z sobą i nauczcie zbierać, aby mógł zarobić na swe utrzymanie, a wy za to z pewnością od Boga zapłatę i nagrodę dostaniecie.” Odpowiedzieli: „Słyszemy i jesteśmy posłuszni”, i po słowach powitania zabrali mnie z sobą i poszliśmy, a każdy z tych ludzi miał ze sobą torbę podobną do mojej, napelnioną krzemienym żywirem. Szliśmy nie ustając w drodze, aż przybyliśmy

do rozległej doliny. Rosło w niej dużo drzew tak wysokich, że nikt nie byłby w stanie wdrapać się na nie. W dolinie tej było poza tym mnóstwo małp, które spostrzegłszy nas, poczęły uciekać i włąziły na te drzewa. Moi towarzysze poczęli wtedy rzucać w małpy kamieniami, które przynieśli w swoich sakwach, małpy zaś zrywały z drzew owoce i nimi nawzajem w ludzi ciskały. Obejrzałem te owoce, którymi małpy rzucały, i stwierdziłem, że były to orzechy kokosowe. Przyjrzawszy się, jak ci ludzie to czynią, wybrałem sobie ogromne drzewo, na którym siedziała cała gromada małp, i zacząłem celować w nie kamieniami, a one w zamian zrywały orzechy i rzucały nimi we mnie, ja zaś zbierałem owoce tak samo, jak tamci ludzie. I gdy kamienie z mej torby się wyczerpały, miałem za to wielką ilość kokosów.

Gdy ludzie ukończyli swą pracę, każdy zebrał to, co zdobył, i dźwignął na plecy, ile zdołał, po czym wróciliśmy wszyscy razem jeszcze za dnia do miasta. Ja poszedłem prosto do mego przyjaciela, człowieka, który zapoznał mnie z gromadą zbieraczy kokosów, oddałem mu wszystko, co zbierałem, dziękując mu za jego dobroć. Ale on rzekł: „Weź to i sprzedaj, a co za to uzyskasz, zachowaj dla siebie.” Potem wręczył mi klucz od komórki w swoim domu i dodał: „Orzechy, które ci zostaną, składaj sobie w tym miejscu. I wychodź każdego dnia z gromadą, z którą dzisiaj byłeś na zbiorach. Z orzechów, które przyniesiesz, wybierz gorsze, obłup ze skorup i sprzedaj, a uzyskane pieniądze zużyj na swoje potrzeby, resztę zaś orzechów schowaj w tej komorze.” Rzekłem mu: „Niechaj ci Allah Najwyższy za to odpłaci.”

I postąpiłem tak, jak mi mój przyjaciel poradził, i nie opuściłem żadnego dnia, tylko codziennie worek napełniałem kamieniami i chodziłem z innymi ludźmi, i czyniłem to samo co oni. A oni polecali mnie jedni drugim i pokazywali mi drzewa, na których było dużo owoców. Ja zaś byłem w pracy wytrwały i po pewnym czasie nazbierałem wielką ilość dobrych kokosowych orzechów, a gdy sprzedałem je, zarobiłem na tym sporo. Każdą rzecz, której zapragnąłem, kupowałem sobie i żyłem w tym mieście spokojnie, i rosło we mnie poczucie szczęścia. I w takim trwałym stanie, aż oto przyplłynął do tego miasta jakiś statek i zarzucił kotwicę u brzegu. Na jego pokładzie byli kupcy, którzy posiadali rozmaite towary i sprzedawali je, a od nas kupowali i wymieniali różne rzeczy na orzechy kokosowe. Poszedłem wówczas do mego przyjaciela, oznajmiłem mu o przybyciu statku i powiedziałem, że chciałbym na nim odjechać do swojego kraju. On rzekł: „Czyń, co zechcesz.” Pożegnałem go więc i podziękowałem za dobroć, której od niego doznałem, a potem udałem się na statek, pomówiłem z kapitanem i wynajmąłem sobie na statku miejsce. Załadowałem nań, co miałem, orzechy i wszystkie inne rzeczy, a przedtem



jeszcze doszedłem z kapitanem do porozumienia co do miejsca na statku. Statek odpłynął tego samego dnia i żeglowaliśmy bez ustanku od wyspy do wyspy i z morza na morze, a na każdej wyspie, u której brzegów zarzucaliśmy kotwicę, sprzedawałem i wymieniałem orzechy, Allach zaś dał mi za nie więcej, niżli dawniej miałem i straciłem. Przepływaliśmy w tej podróży koło wysp, na których rósł pieprz i cynamon, a ludzie tamtejsi powiadali, że znajdują przy każdej pieprzowej kiści duży liść, który ocienia ją i chroni przed deszczem, jeśli deszcz pada. Gdy zaś deszcz ustaje, liść odsłania kiść i zwisa u jej boku. Na tej wyspie wymieniłem część orzechów na wielką ilość pieprzu i cynamonu.

A przepływaliśmy również koło wyspy al-Asirat, na której rosną drzewa aloesu kumaryjskiego. Za nią, w odległości pięciu dni drogi, znajduje się inna wyspa, na której rosną drzewa chińskiego aloesu lepsze od gatunku kumaryjskiego. Ale mieszkańcy tej wyspy pod względem obyczajów i wiary niżej stoją od ludności zamieszkującej wyspy porośnięte drzewem aloesu kumaryjskiego. Lubują się oni w rozwiązości, piją wino, nie znają wezwania do modłów ani obowiązku ich odprawiania.

Po jakimś czasie przybyliśmy do miejsca bogatego w perły, gdzie dałem nurkom trochę kokosowych orzechów i rzekłem im: „Nurkujcie na moje szczęście i na mój zysk.” I zagłębili się nurkowie w morzu, i wydobyli wielką ilość dużych, cennych pereł. Powiedzieli do mnie: „Panie nasz, na Allacha, twoje szczęście jest zaiste nadzwyczajne.” Potem wszystko, co wyłowili dla mnie nurkowie, zabrałem na statek i dalej podróżowaliśmy z błogosławieństwem Allacha Najwyższego, i płynęliśmy bez przerwy, aż przybyliśmy do miasta Basry. Tam wysiadłem i zabawiłem niedługo, a potem ruszyłem w drogę do miasta Bagdadu. Udałem się do mojej dzielnicy, wszedłem do mego domu i pozdrowiłem moją rodzinę i towarzyszy. Oni winszowali mi ocalenia, ja zaś, złożyłwszy w magazynach wszystko, co przywiozłem z towarów i dobytku, począłem odziewać sieroty i wdowy, rozdawałem jałmużnę i dary i obsypywałem upominkami swoją rodzinę, towarzyszy i przyjaciół, jako że Allach w czwórnasób mi zwrócił to, co straciłem. I dzięki zyskom i zarobkom rychło zapominałem, co mi się przytrafiło i co wycierpiałem, i tak jak za dawnych czasów bywało, pędziłem wesołe życie z mymi towarzyszami i przyjaciółmi. Oto opowiedziałem wam najciekawsze spośród mych przeżyć z okresu mej piątej podróży. Teraz wieczerzajcie, jutro zaś przyjdźcie do mnie znowu, a będę wam prawil o tym, co mi się w mojej szóstej podróży przydarzyło, była ona bowiem jeszcze bardziej osobliwa niż poprzednie.

Potem rozpostarto obrusy i wszyscy wieczerzali, a gdy skończyli,

Sindbad Żeglarz kazał dać Sindbadowi Tragarzowi sto miskali złota. I wziął je Sindbad Tragarz, i odszedł zdumiony. Noc tę spędził w swoim domu, a gdy ranek zaświtał, wstał i poranne modły odprawiwszy, poszedł znów do Sindbada Żeglarza, wszedł do jego domu i życzył gospodarzowi dobrego poranka. Sindbad Żeglarz kazał mu przy sobie siadać i gawędził z nim do czasu, gdy przyszli pozostali biesiadnicy. Gdy porozmawiali, nakryto do stołu, po czym zgromadzeni jedli, pili, byli weseli i zadowoleni, a wreszcie Sindbad Żeglarz podjął opowiadanie o swych dalszych przygodach.

Szóste opowiadanie Sindbada Żeglarza dotyczące podróży szóstej

Wiedźcie, o moi bracia, towarzysze i przyjaciele, że powróciwszy z mej piątej podróży, wnet dzięki zabawom, rozrywkom, radości i weselu zapomniałem, co w niej wycierpiałem. Byłem bardzo szczęśliwy i zadowolony i trwałem w tym stanie, aż oto pewnego dnia, gdy siedziałem sobie wesoły, uśmiechnięty i zadowolony, przybyła do mnie grupka kupców. Było po nich widać przebyte trudy podróży i ich widok przypomniał mi dzień mojego powrotu z ostatniej wędrówki, moją radość ze spotkania z rodziną, przyjaciółmi i towarzyszami i to, co czułem, gdy znów wstępowałem na swą ojczystą ziemię. Duszę moją porwała wówczas tęsknota za włóczęgą i handlem i znowu postanowiłem wyruszyć w drogę. Nakupiłem kosztownych towarów potrzebnych do morskiej podróży, spakowałem je i z miasta Bagdadu udałem się do miasta Basry. Tam ujrzałem wielki statek, a na nim kupców i bogatych podróżników wiozących cenne towary. Załadowałem tedy na ów statek również moje ładunki i pomyślnie wyruszyliśmy z Basry. Płynęliśmy nie ustając z miejsca na miejsce i z miasta do miasta, oglądaliśmy obce kraje, po drodze kupując i sprzedając. Szczęście nam w tej podróży sprzyjało i zgarnialiśmy wielkie zyski, aż oto pewnego dnia kapitan począł krzyżeć i zawodzić, rzucił pod nogi swój turban, bił się po twarzy i brodę szarpał, aż w końcu upadł na pokład zrozpaczony i znękany jakąś wielką zgryzotą. Wszyscy kupcy i podróżni otoczyli go i pytali: „Kapitanie, co się stało?”, a on odpowiedział: „Wiedźcie, wy wszyscy, że nasz statek pobłądził. Oto opuściliśmy morze, po którym powinniśmy byli żeglować, i znajdujemy się teraz na morzu innym, którego dróg nie znamy. Jeśli Allach nie ześle nam jakiejś pomocy, by nas z tego morza wyratować, wszyscy zginiemy. Przyzywajcie więc Allacha Najwyższego, by nas od tego nieszczęścia ocalił!” To powiedziawszy kapitan wstał i wspiał się na maszt, aby opuścić żagle, ale wicher się wzmożył i dał z całą siłą

w statek, pchając go do tyłu, aż ster roztrzaskał się u stóp jakiejś wysokiej góry. Kapitan zsunął się wówczas z masztu wołając: „Nie ma potęgi ni siły poza Allachem Wielkim i Mocnym! Żaden człowiek nie odmieni dróg przeznaczenia! Na Allacha, znajdujemy się w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa i nie ma dla nas przed nim ocalenia ni ratunku!”

Wtedy wszyscy podróżni poczęli płakać nad sobą, a widząc, że koniec ich życia nieuchronnie się zbliża, stracili wszelką nadzieję i żegnali się jedni z drugimi. A statek wpadł na tę górę i roztrzaskał się na drobne kawałki. Poodczepiały się deska od deski i wszystko, co było na statku, utonęło w morzu, a kupcy także powpadali do wody. Niektórzy z nich utonęli zaraz, a inni zdołali się uczeplić skały owej góry i wydostali się na nią. Ja należałem do tych, co wydrapali się na górę. A była to wielka wyspa i musiało się przy niej rozbić już wiele statków, bo na jej brzegach leżało dużo dobytku wyrzuconego przez morze z zatopionych statków, których podróżni zginęli. I była to tak ogromna ilość rzeczy, towarów i rozmaitych bogactw, wyrzuconych przez fale na brzeg tej wyspy, że aż się rozum i myśli od tego mąciły.

Wspiąłem się po stromych brzegach na wyspę i wędrując po niej dalej, ujrzałem w głębi strugę słodkiej wody. Wypływała ona spod stóp góry i znikła znowu po drugiej stronie doliny. Inni podróżni weszli za mną na wyspę i rozbiegli się po niej, oszołomieni i obłąkani od widoku tych bogactw i towarów wyrzuconych na brzeg wyspy. Ja zaś zobaczyłem na dnie strumienia mnóstwo najprzeróżniejszych klejnotów, drogocennych kamieni, rubinów i wielkich królewskich pereł, które leżały niczym żwir w łóżysku strumienia. Całe jego dno połyskiwało, tak wiele było w nim drogich kamieni i różnych innych kosztowności. I widzieliśmy na tej wyspie dużo drzewa aloesu chińskiego i kumaryjskiego najprzedniejszego gatunku. Było tam również źródło surową ambra płynące, która od żaru promieni słonecznych topi się jak wosk i wylewa, płynąc dalej ku morzu. Z morskich głębin wynurzają się później rozmaite potwory i polykają tę ambra, po czym z powrotem się w morzu zanurzają. Ale że ambra pali im wnętrza brzuchów, więc ją przez paszcze z powrotem wypluwają do wody. Wówczas na powierzchni wody ambra krzepnie, zmienia swą barwę i postać. Fale wyrzucają ją na brzeg, a kupcy i podróżnicy znający się na rzeczy zbierają ją tam i sprzedają. Jeśli zaś idzie o tę część ambry surowej, której nie połkną morskie stworzenia, to przelewa się ona przez brzegi źródła i krzepnie na ziemi. Gdy zaś słońce zacznie na nią świecić, topi się i zapach podobny do piżma rozchodzi się od niej po całej dolinie, a gdy słońce zachodzi nad nią, ambra krzepnie na powrót. Lecz do miejsca, w którym ta surowa ambra się znajduje, nikt nie jest w stanie dotrzeć ani trafić, gdyż wyspę otaczają ze

wszystkich stron takie strome skały, że nie sposób wspiąć się na nie.

My wędrowaliśmy po tej wyspie, oglądaliśmy bogactwa, które Allah Najwyższy na niej stworzył, i czuliśmy się bezradni w tym naszym położeniu, i coraz większy strach nas ogarniał. Na brzegu wyspy znaleźliśmy trochę pożywienia, ale było go niewiele, więc oszczędzaliśmy bardzo i jadałaliśmy tylko jeden posiłek w ciągu dnia albo nawet co dwa dni, bojąc się, że skończy się nam żywność i wtedy z głodu i strachu marnie pomrzemy. Każdego, kto z naszej gromadki umarł, obmywaliśmy i owijaliśmy w całun i szaty wyrzucone przez fale na brzeg. Wkrótce wielu spośród nas umarło i pozostała już tylko nieliczna garstka ludzi, słabnących i cierpiących na ból brzucha od picia morskiej wody. Tak żyliśmy przez krótki czas, aż jeden po drugim wszyscy moi towarzysze pomarli – a każdego, kogo śmierć zabrała, grzebaliśmy w ziemi. Wreszcie pozostałem na tej wyspie sam, mając już bardzo niewielkie zapasy żywności. Płacząc nad sobą wyrzekałem: „Czemuż nie umarłem przed moimi towarzyszami! Byliby mnie przynajmniej obmyli i pochowali! Wszelako nie ma potęgi ni siły poza Allachem Wielkim i Mocnym.” Przetrwiałem tam w ten sposób jeszcze niedługi czas, a potem począłem sobie kopać na brzegu wyspy głęboki grób. Mówiłem sobie: „Gdy zasłabnę i poczuję, że śmierć się do mnie zbliża, położę się w tym grobie i umrę w nim, a wiatr zasypie mnie i przykryje piaskiem, i tak będę pochowany.” I w duszy czyniłem sobie wyrzuty za swą głupotę i za to, że wywędrowałem z mojego rodzinnego miasta po to, by wybrać się znowu do obcych krajów, nie pamiętając o tym, co wycierpiałem za pierwszym, drugim, trzecim, czwartym i piątym razem. Nie było przecież ani jednej podróży, w której bym się nie nacierpiał i w której nie zaznałbym strachu i niebezpieczeństw coraz to większych i dotkliwszych niż te, które je poprzedzały.

I przestałem już wierzyć w możliwość ratunku i ocalenia, i żałowałem, że się w morską podróż wybrał i podjął ją na nowo, choć nie brak mi było pieniędzy i bogactw miałem pod dostatkiem, a nawet więcej, tyle mianowicie, że do końca życia nie byłbym w stanie wydać ani przehulać nawet połowy tego. Rozmyślałem jeszcze o tym wszystkim i rzekłem wreszcie sobie w duchu: „Na Allacha, ten strumień ma niewątpliwie swój początek i swój koniec i gdzieś przecież musi się znajdować miejsce, gdzie z powrotem w jakiejś zamieszkałej krainie wypływa on na powierzchnię.”

I wpadłem na pomysł, by zbudować małą tratwę, taką, abym mógł się na niej zmieścić. Wtedy spuściłbym tratwę na wodę i odpłynąłbym na niej. Może w ten sposób znalazłbym ocalenie i za Allacha Najwyższego zezwoleniem uratowałbym się. Gdybym zaś nie miał znaleźć ocalenia, to lepsza już będzie dla mnie śmierć w odmetach rzeki niżli

oczekiwanie jej tutaj. Powzdychałem jeszcze nad sobą, a potem podniosłem się i spiesznie zacząłem zbierać na wyspie drzewo aloesu saufijskiego i kumaryjskiego.

Potem na brzegu morza powiązałem drzewo powrozami i linami ze statków, które się tam rozbiły, naniósłem też jednakowych desek okrętowych i ułożyłem je na kłodach. I sporządziłem tratwę według miary strumienia, tak że była węższa niż jego szerokość, po czym dobrze i mocno ją związałem. Wziąłem ze sobą sporo drogich kamieni i klejnotów, kosztowności i pereł ogromnych, których było tam jak żwiru, nabrałem także przeróżnych innych rzeczy znajdujących się na tej wyspie i trochę surowej czystej ambry i wszystko to złożyłem na tej tratwie. Zabrałem ze sobą wszystko, co zgromadziłem sobie na wyspie, i umieściłem to na tratwie. Wziąłem też ze sobą resztki żywności, jakie mi jeszcze pozostały, a potem spuściłem tratwę na wodę. Po obu stronach umocowałem jeszcze dwa drągi, które miały mi służyć jako wiosła, i postąpiłem według słów poety:

Odejdź stąd, gdzie cię pogłębia dola twa surowa,
Porzuć dom i płacz nad sobą, żeś go wybudował.
Ziemię inną odnalazłeś, kiedyś z własnej uszedł.
Ale gdzieś odnajdziesz drugą, równą twojej, duszę.
Chociaż noc cię gnębi troską, ty pozostań wesół,
Bo nieszczęście każde mija i dobiega kresu.
A ten, komu śmierć pisana, w jednej jest krainie,
W żadnej innej nie umiera, jeno w tamtej ginie.
Nie zawierza posłańcowi żadnej ważnej sprawy;
Własnym swym doradcą winien stać się człowiek prawy.

I popłynąłem na mej tratwie po strumieniu rozmyślając nad tym, co się ze mną stanie. I płynąłem bez ustanku aż do miejsca, w którym strumień ginał pod górą. Gdy wpłynąłem na mej tratwie w to podziemie, ogarnęła mnie całkowita ciemność, a prąd unosił mnie wąskim korytarzem. Boki tratwy poczęły się ocierać o brzegi strumienia, a moja głowa zawadzała o sklepienie. Ale nie mogłem już stamtąd zawrócić i w duszy zacząłem się ganić za to, co znowu z sobą uczyniłem. Mówiłem: „Jeśli ów korytarz, którym płynę na tratwie, stanie się jeszcze węższy, nie starczy miejsca, aby dalej płynąć, tym bardziej więc nie będzie można zawrócić. Bez wątplenia przyjdzie mi tutaj marną śmiercią zginąć!” Zmuszony ciasnotą tego miejsca, przylgnąłem twarzą do tratwy i tak płynąłem, nie rozróżniając dnia od nocy wśród otaczających mnie ciemności, a strach i trwoga przed śmiercią nie opuszczały mnie. I tak płynąłem tym strumieniem dalej bez przerwy, a on to rozszerzał się, to znów zwężał. Ciemność

bezustanna zmęczyła mnie tak bardzo, że zasnąłem wielce strapiony i spałem, leżąc twarzą na tratwie, która płynęła ze mną bez przerwy.

I nie wiedziałem, czym spał długo czy krótko, bo ocknąłem się już w świetle dnia, i gdy otworzyłem oczy, ujrzałem wokół rozległą przestrzeń. Moja tratwa była uwiązana przy brzegu jakiejś wyspy, a wokół mnie stała gromada Hindusów i Etiopów. Kiedy oni ujrzeli, że się przebudziłem, zbliżyli się i przemówili do mnie coś w swoim języku. Nie zrozumiałem tego, co powiedzieli, i myślałem, że dalej śnię i że od trosk i udręki, jakich zaznałem, ukazują mi się senne widziadła. Tamci zaś pojęli, że nie rozumiem ich mowy, i jeden z nich podszedł do mnie i odezwał się po arabsku: „Pokój z tobą, bracie nasz. Kim jesteś, skąd przybywasz i co cię tutaj przywiodło? My posiadamy tu ziemie i uprawne pola i właśnie przyszliśmy, aby je nawadniać, gdy ujrzeliśmy ciebie śpiącego na tratwie. Zatrzymaliśmy ją przeto i przycumowaliśmy tu, blisko nas, abyś się mógł spokojnie przebudzić. Opowiedz nam teraz, jak się tutaj znalazłeś.” Rzekłem: „Allah z tobą, o panie. Ale pierwej przynieś mi coś do jedzenia, bo zaprawdę ginę z głodu, a potem dopiero pytaj, o co zechcesz.” Wtedy człowiek podał mi spiesznie pokarm, a gdy najadłem się do syta, odetchnąłem i uspokoilem się, duch na powrót we mnie wstąpił i sławiłem Allacha Najwyższego za wszystko, co mi dał, i radowałem się, że płynąłem po tej rzece i znalazłem się pośród tych ludzi. Potem opowiedziałem im wszystko, co mi się przytrafiło od początku do końca, i o tym, co przecierpiałem, płynąc strumieniem w jego wąskim korycie i opowiedziałem im całą swoją historię. Wtedy oni pogadali coś między sobą i rzekli: „Trzeba nam wziąć ze sobą tego człowieka i przedstawić go naszemu królowi, by i jemu opowiedział o swoich przypadkach.” Zabrali mnie więc ze sobą i ponieśli za mną tratwę ze wszystkim, co na niej było spośród kosztowności, klejnotów, drogich kamieni i złotych ozdób. Zaprowadzili mnie przed swego króla i powiadomili go o moich sprawach. Król mnie pozdrowił i powitał, a potem zapytał, kim jestem i co mi się przydarzyło. Opowiedziałem mu wtedy wszystko o sobie i o tym, co mi się przygodziło od początku do końca, a król zadziwił się wielce i winał mi cudownego ocalenia.

Później podszedłem do mojej tratwy, wybrałem sporo drogocennych kamieni, klejnotów, kawałków aloesowego drzewa i surowej ambry i podarowałem to wszystko królowi. On zaś przyjął ode mnie te dary, a mnie potraktował z wielką uprzejmością, a nawet dał mi u siebie gościnę. Wkrótce potem zaprzyjaźniłem się z miejscowymi dostojnikami i wielmożami, a oni poczęli mnie darzyć szacunkiem i poważaniem. I tak sobie żyłem nie wychodząc z królewskiego pałacu. Ludzie przybywający do tego kraju zapytywali mnie często o moją ojczyznę. Wówczas opowiadałem o moim kraju, a sam z kolei

dowiadawałem się, jak oni żyją u siebie, i ludzie ci opowiadali mi o tym. Pewnego dnia król zagadnął mnie o sprawy mego kraju i o to, jak nasz kalif w Bagdadzie sprawuje rządy. Opowiedziałem mu wtedy szczerze o panowaniu naszego kalifa, a król się zdziwił i rzekł do mnie: „Na Allacha, mądre są prawa i sprawiedliwe rządy twojego kalifa. Opowiadaniem swoim obudziłeś we mnie miłość ku niemu i pragnę przygotować mu od siebie podarunek, który przez ciebie mu pošlę.” Odpowiedziałem: „Słyszę i jestem posłuszny, o panie nasz. Przekażę mu twój dar i powiem, jakie przyjazne uczucia dla niego żywisz.”

Potem bawiłem jeszcze pewien czas u tego króla i otoczony szacunkiem i poważaniem wiodłem prawdziwie wykwintny żywot. Aż pewnego dnia, gdym sobie siedział w królewskim pałacu, usłyszałem wiadomość, że jacyś ludzie przygotowują do drogi statek i zamierzają udać się na nim w kierunku miasta Basry. I rzekłem sobie w duszy: „Nie znajdę dogodniejszej sposobności nad podróż z tymi ludźmi.” I zaraz pospieszyłem do króla, i ucałowawszy mu dłoń oznajmiłem, że ogarnęła mnie tęsknota za ojczyzną i rodziną i chciałbym razem z kupcami wyruszyć w podróż statkiem, który oni właśnie do drogi przygotowali. Król powiedział: „Będzie, jak zechcesz. Gdybyś jednak wolał pozostać w naszym kraju, wiedz, że zatrzymamy cię radzi z całej duszy, bo cenimy sobie twoją obecność.” Rzekłem na to: „Panie mój, na Allacha, byłeś wspaniałomyślny dla mnie i nie skąpiłeś mi swojej dobroci, ale ja tęsknię do swoich ziomków, do ojczyzny i rodziny.”

Gdy król wysłuchał tego, co mu powiedziałem, wezwał kupców, którzy ów statek przysposobili do drogi, powierzył mnie ich opiece i obdarował mnie hojnie swymi skarbami. Opłacił też za mnie miejsce na statku i wręczył mi bogaty podarunek dla kalifa Haruna ar-Raszida, panującego w mieście Bagdadzie. Pożegnałem tedy króla i wszystkich moich przyjaciół, z którymi się często spotykałem, wsiadłem razem z kupcami na statek i odpłynęliśmy. Wiatry były nam przychylne, podróż wiodła się nam szczęśliwie, a my pokładaliśmy ufność w Allachu Sławionym i Mocnym. I podróżowaliśmy bez ustanku płynąc z morza na morze i z wyspy na wyspę, aż bezpiecznie, za przyzwoleniem Allacha Najwyższego, przybiliśmy do portu miasta Basry. Tam zszedłem ze statku na ląd, wylądowałem moje sakwy i przygotowałem się do dalszej drogi, lecz zanim wyruszyłem, parę dni i nocy spędziłem jeszcze na basryjskiej ziemi.

Wreszcie udałem się do Bagdadu, Przybytku Pokoju, i przybywszy do kalifa Haruna ar-Raszida wręczyłem mu dary i opowiedziałem wszystko, co mi się przydarzyło. Potem złożyłem w skarbcu swoje bogactwa, a w magazynach towary, i podążyłem do mojej dzielnicy.



Przybyła do mnie moja rodzina i przyjaciele, a ja ich wszystkich obdarowałem podarunkami, ponadto zaś dawałem biednym jałmużnę i rozmaite datki. A po pewnym czasie kalif wezwał mnie do siebie i zapytał, od kogo i skąd pochodzi dar przeze mnie przywieziony. Odpowiedziałem: „O Władco Wiernych, zaprawdę, nie znam nazwy miasta, z którego pochodzi ten dar, ani nawet nie wiem, którą drogą do niego prowadzi. Gdy bowiem statek, na którym płynąłem, zatonął, ja wydostałem się na pewną wyspę. Stamtąd popłynąłem na tratwie, przez siebie samego sporządzonej, z biegiem strumienia mającego swe koryto na owej wyspie.” I opowiedziałem kalifowi, co mi się dalej w tej podróży przydarzyło i jak zatrzymano mnie na brzegu, jak zaprowadzono mnie do miasta i o wszystkim, co mnie w tym mieście spotkało. Kalif zdumiał się wielkim zdumieniem i kronikarzom swym kazał zapisać moją opowieść, po czym owe zapisy polecił schować w skarbcu, aby służyły ku pouczeniu każdego, kto by je zechciał przeczytać. I obszedł się ze mną kalif wspaniałomyślnie, i odtąd już pozostawałem w Bagdadzie, wiodąc tak jak dawniej rozkoszne życie. Niebawem zapomniałem wszystko, com był od początku do końca przecierpiał, i czas upływał mi wśród zabaw i przyjemności. Takie oto, bracia moi, były przygody, jakie przeżyłem w czasie mojej szóstej podróży, a jutro, jeśli Allah Najwyższy zezwoli, opowiem wam o mojej siódmej podróży, która jest zaprawdę jeszcze osobliwsza i cudowniejsza od tych, co ją poprzedziły.

To rzekłszy Sindbad Żeglarz rozkazał, by rozpostarto obrusy, po czym wszyscy spożyli wieczerzę, a wtedy gospodarz polecił wypłacić Sindbadowi Tragarzowi sto miskali złota. I wziął je Tragarz i oddalił się odchodząc swoją drogą. I odeszli też wszyscy inni biesiadnicy, wielce usłyszonym opowiadaniem zdumieni, w swoje strony. Sindbad Tragarz przepędził noc w swoim domu, a potem, z nastaniem ranka, odprawił poranne modły i powrócił do domu Sindbada Żeglarsza. Wnet zeszli się również inni towarzysze tych biesiad, pogadali trochę, a potem Sindbad Żeglarz rozpoczął opowiadanie o swojej siódmej podróży tymi słowami:

Siódme opowiadanie Sindbada Żeglarsza dotyczące podróży siódmej

Wiedźcie, o zebrani, że gdy powróciłem z mej szóstej podróży, pograżyłem się, tak jak i dawniej bywało, w wirze zabaw i rozrywek, w przyjemnościach i weselu i tak było przez pewien czas nieustannie, dniami i nocami. Ale cóż, kiedy, mimo że zarobki i zyski moje były

nader obfite, dusza moja znów się rwała do tego, by nieznanne kraje oglądać, po morzach płynąć, żyć wśród kupców i rozmaitych nowin słuchać. Przystąpiłem więc do dzieła, zapakowałem w sakwy cenne towary przydatne w czasie morskiej podróży i z miasta Bagdadu powiozłem je do miasta Basry. Tam ujrzałem statek gotowy do drogi, a na nim gromadę bogatych kupców. Wszedłem na pokład i wnet się z kupcami zaznajomiłem.

I wyruszyliśmy w podróż bezpiecznie i zdrowo. Wiatry nam sprzyjały, aż przybyliśmy do miasta zwanego Madinat as-Sin. Byliśmy pełni najlepszych myśli i wesoło rozprawialiśmy o sprawach podróży i handlowaniu, gdy nagle zerwał się gwałtowny wicher, który dał w dziób okrętu, a potem spadł deszcz i zmoczył nas i wszystkie nasze sakwy. W obawie, by deszcz nie zniszczył nam towarów, poprzykrywaliśmy je pilśniowymi płachtami i workami. I przyzywaliśmy Allacha Najwyższego błagając Go, aby odwrócił klęskę, która na nas spadała. Kapitan wstał, podkasał suknie i podwinął rękawy, po czym wspiął się na maszt i zaczął się rozglądać na prawo i na lewo. Potem spojrzął w dół na ludzi stojących na pokładzie statku i począł bić się po twarzy, i szarpał brodę. Gdy zapytaliśmy: „Kapitanie, co się stało?”, odpowiedział: „Módlcie się do Allacha Najwyższego, aby uratował nas od nieszczęścia, w któreśmy wpadli! Płaczcie nad waszymi duszami i pożegnajcie się z sobą nawzajem, wiedźcie bowiem, że wicher, który nami zawładnął, zapędził nas na morze leżące na krańcu świata!”

To rzekłszy kapitan zsunął się z masztu, otworzył swój kufer i wydobyl z niego bawełniany woreczek. Wysypał zeń trochę jakiegoś proszku podobnego do popiołu, zwilżył go wodą i odczekawszy chwilę powąchał go. Potem wyjął z kufra jakąś niewielką książkę, poczytał w niej i rzekł: „Wiedźcie, o podróżni, że w tej książeczce spisane są różne sprawy zadziwiające i wynika z nich, że ktokolwiek tu przybędzie, nie ocaleje z tej krainy, tylko śmierć w niej znajdzie. A ziemia ta zwie się Krainą Królów i na niej znajduje się grób pana naszego Sulejmana, syna Dauda – niechaj pokój będzie nad nimi oboma! I żyją tu węże ogromne o straszliwym wyglądzie, z głębin zaś morza wypływa ryba i połyka każdy statek, który w te okolice zabłądzi, razem ze wszystkim, co się na nim znajduje.” Zdumieliśmy się najwyższym zdumieniem posłyszawszy to, co nam kapitan powiedział, a ledwie skończył, coś podrzuciło statek razem z nami nad wodę. Gdy statek opadł, posłyszeliśmy potężny ryk podobny do huku pioruna. Ogarnął nas popłoch, a potem zamarliśmy, pewni, że za chwilę zginiemy.

A to ryba olbrzymia jak góra podpłynęła pod nasz statek. Struchleliśmy, wybuchliśmy wielkim płaczem i poczęliśmy się gotować na

śmierć, a patrząc na tę rybę, byliśmy oszołomieni jej przerażającą postacią. Wtedy nadpłynęła druga ryba, jeszcze większa, a takiej nie widzieliśmy nigdy w życiu. Płacząc nad swymi duszami poczęliśmy się z sobą żegnać, gdy wtem ukazała się trzecia ryba, jeszcze ogromniejsza niż dwie poprzednie. I opuściły nas siły, zmysły nam się pomieszały, a z trwogi i przerażenia straciliśmy rozsądek. Trzy owe ryby krążyły wokół statku i ta trzecia, największa z nich, już się rzuciła, aby połknąć statek ze wszystkim, co na nim było, gdy nagle zerwał się gwałtowny wichur, który porwał statek, rzucił nim o wysoką rafę i roztrzaskał go doszczętnie. Rozleciały się wszystkie deski i w wodzie pograżyły się towary, kupcy i podróżni. Zdarłem z siebie szaty, pozostając w jednej jedynej koszuli, i płynąłem tak długo, aż zdołałem chwycić jedną z desek okrętowych. Potem, ciągle się jej trzymając, wlałem na wierzch i usiadłem na niej. Fale i wiatr igrały ze mną, ale ja trzymałem się deski mocno, chociaż na grzbietach fal raz się wznosiłem wysoko, a raz opadałem. Byłem zmęczony nieludzko, przestraszony, spragniony i głodny. I począłem się ganić za to, co uczyniłem, a dusza moja po okresie uspokojenia znów popadła w zamęt. I mówiłem do siebie: „O Sindbadzie, o Żeglarzu, nie narzekaj, bo przecież za każdym razem ucierpiełeś od przeciwnostw losu i doświadczyłeś utrapień, a mimo to od morskich podróży się nie odżegnałeś. A jeśliś się od nich odwracał, kłamałeś i czyniłeś to tylko w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa. Znoś więc teraz to, co cię spotkało, bo zaiste, zasłużyłeś sobie na wszystko, co ci się przydarzyło i czego doświadczyłeś. A wszystko tak się dzieje z przeznaczenia Allacha Najwyższego po to, abyś od swej chciwości odstąpił. Wszystko, co przecierpiałeś, spotkało cię przez twą zachłanność, chociaż tak wielkie bogactwa posiadałeś.” Skoro potem odzyskałem rozsądek, powiedziałem do siebie: „Zaiste, w tej podróży wyrzekam się na prawdę wobec Allacha Najwyższego wszelkiego podróżowania i póki żyć będę, w mowie ani w myślach nie wspomnę o tym.” I przez długi czas płakałem i przed Allachem Najwyższym się korzyłem, a potem w duszy począłem snuć wspomnienia, jak to sobie dawniej żyłem w spokoju i radości, wśród zabaw, uciech i zadowolenia.

Tak przeszedł jeden dzień i drugi, aż w końcu wydostałem się na ogromną wyspę, na której było wiele drzew i strumieni. Pożywiłem się owocami z drzew, popiłem wody ze strumieni, a gdy już byłem syty, odzyskałem ducha i siły i radość mi w serce wstąpiła. Poszedłem w głąb wyspy i po drugiej stronie zobaczyłem wielką rzekę pełną słodkiej wody, płynącą wartkim strumieniem. Wtedy przypomniałem sobie tratwę, na której kiedyś płynąłem, i powiedziałem do siebie: „Nie ma rady, muszę sobie zrobić tratwę podobną do tamtej, a może się na niej uratuję. Jeśli z pomocą tej tratwy ocaleję, spełnię swój

zamysł i przed Allachem Najwyższym .na zawsze wyrzeknę się podróży. Jeśli zaś zginę, to przynajmniej serce moje po trudach i znojach nareszcie znajdzie ukojenie.”

Podniosłem się więc i począłem zbierać gałęzie z drzew. Było to doskonale drewno sandałowe, które nie ma sobie równego, ale ja wtedy nie wiedziałem nawet, co to jest. Nazbierałem tego drewna i przyszedł mi jeszcze do głowy sprytny pomysł: z gałązek i trawy rosnącej na tej wyspie ukręciłem sobie sznur i wzmocniłem nim tratwę. Powiedziałem: „Jeśli ocaleję, to dzięki Allachowi”, wsiadłem na tratwę i popłynąłem na niej po rzece, aż znalazłem się na drugim krańcu wyspy. Wkrótce się od wyspy oddaliłem i podróżowałem bez ustanku jeden dzień, potem drugi i trzeci, a przez cały ten czas, odkąd opuściłem wyspę, leżałem, nie biorąc nic do ust, tylko pijąc wodę z tej rzeki, gdy byłem spragniony. I stałem się podobny do bezbronnego kurczęcia, tak mnie osłabił długotrwały trud, głód i strach. Tymczasem tratwa dopłynęła ze mną do wysokiej góry, a pod nią wypływała rzeka. Ujrawszy to przypomniałem sobie wąski tunel, przez który się niegdyś na tratwie przedzierałem, i zląkłem się bardzo, i chciałem tratwę zatrzymać, aby z niej wyjść na brzeg, ale woda mnie porwała i wraz ze mną zaniósła tratwę w głąb góry. Widząc to pewny już byłem swojej zguby i zawołałem: „Nie ma potęgi ni siły poza Allachem Wielkim i Mocnym!”

A tratwa płynęła jakiś czas pod ziemią, po czym wydostała się na otwartą przestrzeń w jakąś rozległą dolinę. Rzeka huczała w niej niczym grzmoty, a prąd niósł z szybkością wichru. Siedziałem na tratwie i kurczowo się jej trzymałem, w obawie, bym nie wpadł do wody, a fale igrały ze mną pośrodku rzeki, to na prawo, to na lewo mnie rzucając. I tak płynęła moja tratwa w tej dolinie gnana prądem rzeki bez ustanku, a ja nie byłem w stanie nad nią zapanować ani do brzegu jej skierować. Na koniec tratwa zbliżyła się do wielkiego i ludnego miasta o wysokich domach. Gdy mnie jego mieszkańcy dostrzegli płynącego na tratwie i porywanego prądem rzeki, zarzucili na tratwę sieć i powrozy i wyciągnęli ją na brzeg. Wówczas upadłem koło nich na ziemię jak martwy wskutek wielkiego głodu, bezsenności i przerażenia. I wystąpił ku mnie z grona zebranych na brzegu ludzi mąż podeszłego wieku, czcigodny starzec, który powitał mnie i podał mi wiele pięknych szat, tak że mogłem nimi swą nagość okryć. Potem starzec ten zabrał mnie z sobą, powiódł do łaźni, podał mi krzepiące napoje i wonne pachnidła.

Gdy opuściliśmy łaźnię, starzec zabrał mnie do swego domu i wprowadził mnie do środka, a domownicy ucieszyli się moim widokiem. Starzec usadowił mnie w pięknej komnacie i kazał podać wysmienity posiłek, zjadłem więc do syta i sławiłem Allacha Najwyż-

szego za to, że mnie ocalił. Służebni chłopcy podali mi wówczas ciepłą wodę, umyłem więc dłonie, a niewolnice przyniosły jedwabną chustę, w którą ręce i usta otarłem. Potem starzec wstał i w jednym ze skrzydeł swojego domu przeznaczył dla mnie osobną komnatę, a służącym i niewolnicom przykazał, aby gotowi byli na każde moje skinienie i zadość wszystkim moim potrzebom i życzeniom czynili. Troszczyli się o mnie bardzo i w ten sposób przepędziłem w tym gościnnym domu trzy dni wśród miłych woni, przy dobrym jedzeniu i picciu. Duch we mnie tam wstąpił na nowo, strach mnie opuścił, a serce się uspokoiło i dusza doznała ukojenia.

Czwartego dnia przyszedł do mnie mój gospodarz i powiedział: „Synu mój, radzi jesteśmy, że do nas przybyłeś, i Allachowi dziękujemy za to, że cię ocalił. Czy chciałbyś pójść ze mną na brzeg rzeki, a potem na bazar, by towar swój sprzedać i wziąć zań zapłatę? Może za te pieniądze kupisz potem coś, czym będziesz mógł handlować.” Milczałem chwilę i w duchu zadawałem sobie pytanie: „Skądże mógłbym mieć jakiś towar? I czemu ten człowiek tak do mnie przemawia?” A starzec tymczasem dalej mówił: „Synu mój, nie trap się i dłużej się nie zastanawiaj, tylko chodź z nami na bazar. Jeśli znajdziemy kogoś, kto ci za twój towar dobrze zapłaci, weźmiesz pieniądze, a jeśli nic cię nie zadowoli, swój towar przechowasz u mnie w składzie i poczekaasz ze sprzedażą na jakiś inny, szczęśliwy dzień.” Zastanowiłem się i w myśli sobie powiedziałem: „Posłuchaj tego człowieka i zobacz, co to za towar”, głośno zaś powiedziałem do starca: „Słyszę i jestem posłuszny tobie, mój stryju i szejchu, bo czyny twoje są błogosławione i niepodobna ci się sprzeciwić.” To rzekłszy poszedłem z mym gospodarzem na bazar i ujrzałem tam moją tratwę z drzewa sandałowego, tę samą, na której tu przypląnąłem. Była ona rozebrana na części i starzec przekazał ją już pośrednikowi, a pośrednik wystawił ją na sprzedaż. Wnet też przybyli różni kupcy i zaczęli podawać swe ceny, i podbijali je, aż cena mej tratwy osiągnęła sumę tysiąca denarów i na niej stanęła. Starzec zwrócił się wówczas do mnie i rzekł: „Słuchaj, synu mój, cena którą ci dziś dają za twój towar, jest dobra. Czy chcesz go zaraz za nią sprzedać, czy też się wstrzymasz i przechowasz towar u mnie do czasu, gdy zapotrzebowanie nań wzrośnie jeszcze i dopiero wtedy ja sprzedam go dla ciebie?” Odpowiedziałem: „Panie mój, rozkazuj, a ja uczynię, jak zechcesz.” Starzec odparł: „Synu mój, sprzedaj mi więc to drzewo za cenę o sto denarów większą od tej, jaką dają tobie kupcy.” Rzekłem: „Zgoda, sprzedaję ci drzewo i przyjmuję za nie tę cenę.” Wtedy on kazał swoim sługom przenieść drzewo do swych składów, po czym razem wróciliśmy do jego domu, a tam zasiedliśmy, i mój gospodarz odliczył mi całą należność. Przyniósł sakiewki, wyspał do nich złoto i zam-

knąwszy je następnie w skrytce opatrzonej zamkiem żelaznym, wręczył mi od niej klucz.

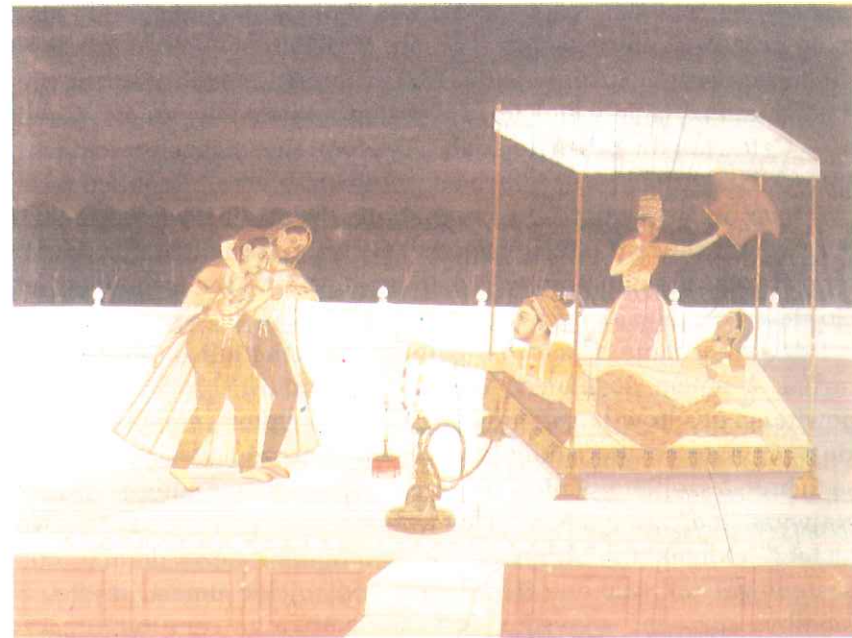
Po pewnym czasie, gdy znowu przeszło parę dni i nocy, starzec odezwał się do mnie: „Synu mój, chciałbym ci przedstawić pewien swój pomysł i pragnę, abyś nań swoją zgodę wyraził.” Spytałem: „Cóż to za zamysł?” Odpowiedział: „Wiesz o tym, że jestem już starym człowiekiem i nie mam syna. Ale mam córkę młodą, o bardzo pięknych kształtach i wielce majątną, a także bardzo urodziwą. Chciałbym, abyś ją za żonę pojął i pozostał z nią w naszym kraju, ja zaś dam ci wszystko, co posiadam i czym moja dłoń rozporządza. Jestem już stary i ty po mnie zajmiesz moje miejsce.” Milczałem chwilę i słowem się nie odzywałem, przeto on ciągnął dalej: „Uczyń zadość mojej prośbie. Tak będzie dobrze dla ciebie. Zgódź się i ożeń z moją córą, a będziesz mi synem i wszystko, co posiadam i czym moja dłoń rozporządza, będzie twoje. Gdy zechcesz zająć się kupiectwem lub do swojej ziemi wrócić, nikt nie sprzeciwi się tobie, gdyż będziesz bogaty i wszystko będzie zależało od ciebie. Czyń więc, jak zechcesz, i wybieraj.” I rzekłem mu: „Na Allacha, stryju mój i szejchu, stałeś się dla mnie wprost ojcem. A ja przeżyłem wiele niebezpiecznych przygód i dziś już nie mam siły myśleć nad niczym i o niczym postanawiać. Ty umiesz rozkazywać, więc tobie wybór pozostawiam.”

Wtedy starzec rozkazał swoim sługom, aby kadiego i świadków sprowadzili, a gdy ich przywiedli, ożenił mnie ze swą córą, po czym wielką biesiadę urządził i huczne gody nam wyprawił. Gdy potem wprowadził mnie do swej córki, zobaczyłem, że jest niezrównanie piękna, wysmukła i kształtna. Miała na sobie przeróżne ozdoby i przybrania, drogocenne kamienie, złoto, naszyjniki i klejnoty takie, że wartość ich przewyższała chyba sumę tysiąca tysięcy sztuk złota i nikt nie byłby w stanie tego oszacować. A gdy połączyłem się z nią, oczarowała mnie i zapałaliśmy wzajemną miłością. I tak spędziłem przy niej pewien czas w najwyższym szczęściu i zadowoleniu. Tymczasem jej ojciec został powołany do Miłosierdzia Allacha, przysposobiliśmy go więc do pochówku i pogrzebaliśmy, a ja położyłem swą rękę na tym wszystkim, co dawniej do niego należało. Słudzy jego zostali moimi sługami i przeszli pod moją władzę i rozkazywanie, a kupcy uczynili mnie swym naczelnikiem, przekazując mi jego godność, gdyż był on wśród nich najznacniejszy i nikt bez jego wiedzy i pozwolenia niczego nie mógł poczynać, jako że był on ich szejchem.

Tak więc zająłem miejsce mego zmarłego teścia. I oto po jakimś czasie, gdy żyłem się już z mieszkańcami tego miasta, odkryłem, że na początku każdego miesiąca odmieniają oni swoją postać. Wyrasta-

ły im mianowicie skrzydła i na nich ludzie ci wzlatywali ku obłokom, a w mieście nie pozostawał wtedy nikt, tylko kobiety i dzieci. Razu pewnego powiedziałem sobie w duchu: „Gdy nadejdzie początek miesiąca, poproszę któregoś z nich, aby zaniósł mnie z sobą tam, gdzie się oni udają.” A skoro nastał początek nowego miesiąca, skóra ich się zmieniła i przybrali inną postać. Poszedłem wówczas do jednego z nich i powiedziałem: „Na Allacha, proszę cię, zabierz mnie z sobą, abym mógł tam wszystko obejrzeć, a potem z tobą wrócić.” Lecz on odrzekł: „Nie, to niemożliwe”, ale ja nalegałem tak długo, aż w końcu się zgodził. Skoro doszliśmy do porozumienia, uwiesiłem się na nim, a on pofrunął ze mną w przestworza, podczas gdy nikt z moich domowników, przyjaciół ani sług o tym nie wiedział. Ów człowiek zaś, unosząc mnie na ramionach, leciał bez przerwy, aż przybył ze mną do nieba. Wówczas usłyszałem w kopule sfer niebieskich pochwalne pienia aniołów i wielce tym zdumiony zawołałem: „Niech będzie Allah sławiony! Chwała Allahowi!”

Zaledwie wypowiedziałem te słowa, gdy z nieba buchnął płomień i omal owych latających ludzi nie spalił. Wtedy oni zniżyli szybko swój lot, a mnie rzucili na jakąś wysoką górę i opanowani wielkim gniewem oddalili się, zostawiając mnie własnemu losowi. Pozostałem na tej górze samotny i zacząłem sobie czynić wyrzuty z powodu mego postępu, i lamentowałem: „Nie ma potęgi ni siły poza Allahem Wielkim i Mocnym! Gdy tylko z jednego nieszczęścia uda mi się uratować, zaraz w drugie jeszcze gorsze od tamtego wpadam!” I wciąż na owej górze siedziałem, i nie wiedziałem, w którą by się udać stronę. Wtedy nadeszło dwu młodzieńców pięknych niczym dwa księżycy, a każdy z nich w ręku dzierżył laskę ze złota i opierał się na niej. Podszedłem do nich z pozdrowieniem, gdy oni oddali mi pozdrowienie, zapytałem: „Na Allacha, zaklinam was, powiedzcie, kim jesteście i co tutaj robicie?” Odrzekli: „Jesteśmy sługami Allacha Najwyższego.” To rzekłszy wręczyli mi laskę z czerwonego złota, jedną z tych, które mieli z sobą, i poszli dalej swoją drogą, a mnie pozostawili na miejscu. Wspierając się na tej lasce, zacząłem więc chodzić po szczycie góry i rozmyślałem nad przygodą z tymi młodzieńcami, gdy nagle spod góry wypęzła żmija z jakimś człowiekiem w paszczy. Połknęła go już prawie po pępek, a on krzyczał i wołał: „Kto mnie wybawi, tego Allah z każdego niebezpieczeństwa wyratuje!” Podbiegłem wtedy do żmii i uderzyłem ją mą złotą laską w łeb, a ona wypluła tego człowieka z pyska. Podszedł on wówczas do mnie i rzekł: „Ponieważ z twoich rąk zyskałem uwolnienie od tej strasznej żmii, nigdy cię odąd nie porzucę. Będiesz mym towarzyszem na tej górze!” Odpowiedziałem: „Witaj mi”, i poszliśmy dalej razem przez ową górę. Aż oto nagle zbliżyli się do nas jacyś ludzie. Gdy popatrzy-



łem na nich z bliska, rozpoznałem wśród nich człowieka, który niósł mnie na swoich plecach i leciał ze mną pod niebiosami. Przystąpiłem do niego z grzecznym usprawiedliwieniem i uprzejmie do niego powiedziałem: „Przyjacielu mój, tak nie postępuje się ze swymi przyjaciółmi.” Człowiek ów odpowiedział: „Tyś to niebezpieczeństwo na nas sprowadził wysławiając Allacha na moim grzbiecie.” Rzekłem na to: „Wybacz mi, uczyniłem to bezwiednie i teraz już więcej się nie odezwę ani słowem.” Wtedy zgodził się wziąć mnie z sobą z powrotem, ale warunek mi postawił, że imienia Allacha nie wypowiem ani Go słać na jego plecach nie będę.

I dźwignął mnie, i pofrunął ze mną tak samo jak za poprzednim razem, a potem do mojego domu mnie zaniósł. Moja żona mnie powitała i pozdrowiła, i uradowana moim powrotem, mówiła: „Strzeż się w przyszłości owych ludzi, nie wychodź i nie zadawaj się z nimi, bo są to bracia szejtanów i nie są w stanie wypowiedzieć imienia Allacha Najwyższego.” Zapytałem: „Cóż wobec tego czynił wśród nich twój ojciec?” Odrzekła: „Zaprawdę, ojciec mój nie należał do nich i nie postępował tak jak oni. Teraz, gdy mój ojciec zmarł, myślę, że mógłbyś sprzedać wszystko, co posiadamy, a za cenę tych rzeczy nakupić towarów i wtedy moglibyśmy pojechać do twojego kraju i do twojej rodziny. Ja pójdę za tobą, gdyż zaprawdę nie mam po co w tym mieście pozostawać, gdy ani matka moja, ani mój ojciec nie żyją.”

Wówczas począłem wyprzedawać wszystko, co miał ów szejch, mój teść, rzecz po rzeczy, a przy tym szukałem kogoś, kto by z tego miasta jechał do Bagdadu, aby z nim razem wyruszyć w tę drogę. Gdy to czyniłem, spotkałem w mieście gromadkę ludzi, którzy chcieli się udać w podróż, ale nie mieli statku. Nakupili więc drzewa i zbudowali wielki statek, a ja uzgodniłem z nimi wysokość opłaty za przejazd i uiściłem całą sumę. Potem moją żonę umieściłem na statku, a następnie załadowałem wszystko, cośmy posiadali, tylko nieruchomości i posiadłości ziemskie pozostawiliśmy i odplynęliśmy. I podróżowaliśmy bez przerwy po morzu z wyspy na wyspę i z morza na morze, a wiatry były nam przychylnie i podróż się szczęściła, tak że bezpiecznie przybyliśmy do miasta Basry.

Tym razem nie zatrzymałem się tam wcale, tylko wynająłem inny statek i przeniosłem nań wszystko, co z sobą miałem, i zaraz ruszyliśmy do miasta Bagdadu. Udałem się potem do mojej dzielnicy, wszedłem do mojego domu i przywitałem się z moją rodziną, z towarzyszami i przyjaciółmi, a wszystkie towary, które z sobą przywiozłem, złożyłem w moich składach. Domownicy obliczyli okres mojej nieobecności, to znaczy ten czas, gdym tę moją siódmą podróż odbywał, i stwierdzili, że trwało to dwadzieścia siedem lat. Czyli tyle, że oni już stracili nadzieję, abym jeszcze kiedykolwiek miał powró-

cić. Gdy więc do nich z powrotem przybyłem i opowiedziałem im wszystko, co się ze mną działo i co mi się przytrafiło, wszyscy ogromnie się zadziwili moją historią i winszowali mi ocalenia. I rzeczywiście wtedy wobec Allacha Najwyższego wyrzekłem się na zawsze wszystkich podróży po lądach i po morzach, ta siódma podróż kres moim wyprawom i namiętności do podróży położyła, a nawet całą ochotę do włóczęgi straciłem. I odtąd tylko słałem Allacha Pochwalonego i dziękowałem Najwyższemu za to, że do mojej rodziny, do mojego kraju i do mojej ojczyzny powrócić mi pozwolił. Oto, Sindbadzie Tragarzu, opowiedziałem ci o wszystkim, co mi się zdarzyło i przytrafiło, i przedstawiłem wszystkie moje przygody.

I rzekł Sindbad Tragarz do Sindbada Żeglarza: „Na Allacha, daruj mi, jeśli oceniałem cię niesprawiedliwie.” I odtąd żyli w przyjaźni i serdecznej zażyłości pośród zadowolenia, szczęścia i radości wielkiej, aż przyszła do nich ta, która każe umilknąć weselu i wszystkie związki rozdziela, zamki obraca w ruinę i mogiły buduje, ona, która jest kielichem śmierci. Niechaj sławiony będzie Żywy, który nigdy nie umiera!

A pośród tego, co opowiadają, jest jeszcze:

Opowieść o Miedzianym Mieście

W dawnych czasach, w minionych wiekach i latach żył w Damaszku syryjskim pewien władca, kalif, który zwał się Abd al-Malik ibn Merwan. Siedział on pewnego dnia w otoczeniu możnych swego państwa, wśród królów i sułtanów. Rozmowa zesłała na opowiadania o dawnych narodach i zebrani wspominali podania o panu naszym Sulejmanie, synu Dauda – pokój z nimi oboma – i mówili o tym wszystkim, co Allah Najwyższy mu dał: potęgę i władzę nad ludźmi, dzinnami, ptakami, dzikimi zwierzętami oraz innymi stworzeniami. I mówił król: „Słyszeliśmy od tych, którzy przed nami żyli, że Allah Najwyższy i Sławiony nie dał żadnemu innemu człowiekowi tego, co dał panu naszemu Sulejmanowi, tak iż osiągnął on to, czego nikt inny nigdy nie osiągnął. Uwięził on nawet w dzbanach dzinny, maridy i szejtany, a otwory dzbanów pozalewał stopionym ołowiem i odcisnął na nim swą pieczęć.” Wówczas Talib ibn Sachl począł opowiadać:

Zdarzyło się kiedyś, że pewien mąż wsiadł wraz z grupą innych podróżnych na statek i odplynęli do kraju Hind. I nie przestawali tak płynąć, aż oto zerwał się przeciwny wiatr, który pognał ich ku